
List Konrada Prószyńskiego do Wandy Stempowskiej z 29-30 III 1903 r.

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 12/2, 247-255

1973

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez **Muzeum Historii Polski** w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

LIST KONRADA PRÓSZYŃSKIEGO DO WANDY STEMPOWSKIEJ
Z 29—30 III 1903 R.

Przygotował Zenon Kmiecik

Konrad Prószyński urodził się w 1851 r. w Mińsku. Od r. 1864 wraz z rodziną przebywał na Syberii, dokąd deportowano jego ojca za udział w pracach nad przygotowaniem powstania styczniowego. W 1868 r. przybył sam do Warszawy nie mając żadnych środków do życia. Utrzymywał się z różnych prac zarobkowych i równocześnie przygotowywał do złożenia egzaminów maturalnych jako eksternista. Po uzyskaniu matury wstąpił na Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Studia ukończył w 1876 r. Jeszcze jako student rozpoczął pracę nad znanym elementarzem, na którym uczyło się wiele pokoleń dzieci i dorosłych. Wydał on *Elementarz, na którym nauczysz czytać w 6 albo 8 tygodni*. Jednak największe uznanie przyniósł mu następny elementarz *Obrazkowa nauka czytania i pisania dla użytku domowego, szkolnego i dla samouków*. Jednocześnie pisał książki o różnej tematyce dla chłopów, które krytyka fachowa wysoko oceniła. Zachęcony pochlebną oceną swych prac otworzył w 1881 r. tygodnik „Gazeta Świąteczna”, który redagował aż do swej śmierci (1908). Zamieszczony niżej list Konrada Prószyńskiego omawia różne zakulisowe sprawy związane z funkcjonowaniem „Gazety Świątecznej”. Autor wspomina w nim o utarczkach z redaktorem „Zorzy”, Maksymilianem Malinowskim. W listopadzie 1886 r. na spółkę z M. Malinowskim K. Prószyński zakupił od Józefa Grajnera „Zorzę”. Według umowy mieli oni otrzymać z osiągniętych zysków wydawnictwa odpowiedni procent. Początkowo między M. Malinowskim a K. Prószyńskim panowała zgoda. Po kilku latach wystąpiły jednak znaczne nieporozumienia na tle finansowym. Prószyński zarzucał Malinowskiemu, że źle gospodarzy funduszami „Zorzy”. Gdy w 1891 r. Malinowski zwrócił się do Prószyńskiego z propozycją przedłużenia z nim spółki wydawniczej na dalsze lata — nie uzyskał zgody. Prószyński postanowił sprzedać swój udział innej osobie. O zakupienie udziału w wydawnictwie „Zorzy” zabiegała sekcja wydawnicza tajnego Koła Oświaty Ludowej. Z jej ramienia pertraktacje prowadził znany popularyzator wiedzy przyrodniczej Mieczysław Brzeziński. Początkowo Prószyński nie godził się na propozycje sekcji wydawniczej, ponieważ zamierzał sprzedać swój udział na publicznej licytacji. Sekcja wydawnicza jednak, po zobowiązaniu się do różnych koncesji na rzecz Prószyńskiego, uzyskała zgodę na zakup jego udziału. Po tych zmianach redaktorem „Zorzy” nadal został M. Malinowski.

Te nieporozumienia głęboko utkwiły w pamięci K. Prószyńskiego, bo jeszcze w 1903 r. szeroko pisze o nich w swym liście. Nie udało się odnaleźć bliższych danych o Wandzie Stempowskiej, do której adresowany był niniejszy list. Wiadomo tylko, że pochodziła ona z rodziny ziemiańskiej zamieszkałej na Podolu.

List Konrada Prószyńskiego przechowywany jest w zbiorach jego korespondencji znajdującej się w dziale rękopisów Biblioteki Narodowej pod sygnaturą 5963 (k. 1—6).

29—30 III 1903 r.

Siadłem lata ubiegłego do pisania, aby wylać żale pod adresem Drogiej mi Pani z powodu jej przyjazdu do Warszawy w początku tygodnia, w dniach mojej roboty najpilniejszej i bezwładności z tego powodu pod wszelkimi innymi względami i z powodu niezastania już Pani (niespodziewanie dla mnie), kiedy w piątek w pierwszej chwili nieco swobodniejszy byłem się do hotelu wybrał. Od tamtejszej służby się dowiedziałem, że już Pani wyjechała. Chciałem i miałem, zdaje się, zaczynałem pisać, lecz nie mogłem; a to z tego samego powodu, dla którego stopy kilku tysięcy listów, i to po większej części dość ważnych, nie tylko prywatnie, lecz i społecznie ważnych, leżą jako pamiątka i nieustanna tortura mej duszy, szarpiąc ją wyrzutami, że tyle odpowiedzi nie danych, tyle spraw zaniedbanych, tylu ludzi obrażonych lub zrażonych. Nie napisałem do nich wszystkich nie przez lekkomyślność ani tym podobne przyczyny, ale dlatego, że nie mogłem, nie mogłem, nie mogłem, nie starczyło mi sił, czasu i umiejętności, bo talentu do listowania ani popędu nie mam, rozmowę papierową uznaję głównie jako środek porozumiewania się tłumów, narodu. Listy, tj. ich pisanie, jest dla mnie zawsze pracą i ciężką zajmującą czasu wiele ze szkoda, z ujmą dla robót warsztatowych, które z konieczności na bok odłożone być muszą. No i do pracy takiej lenistwo zawsze czuję nieprzeparate. Jeżeli zaś to, co mówię, stosuje się do stosunków moich z ludźmi, z którymi osobiście nie miałem do czynienia, którzy dla mnie lub dla których ja jesteśmy tylko częsteczkami składowymi narodu, nie wiem więcej, jednym słowem do stosunków wkraczających w zakres czynności i obowiązków publicznych, to cóż mówić o moich stosunkach prywatnych, z osobami, z którymi osobiście węzły mnie łączą. Listy tutaj z konieczności na sam koniec odkładać się muszą. Niepisanie do siostry, brata, dzieci, przyjaciół prawdziwych (osobistych) i krewnych stało się dla mnie prawidłem prawie bez wyjątków. Powiadam „prawie”, boć i obecnie zachodzi wyjątek. Ale, co prawda, zahaczyła mnie Pani o rzeczy nie tylko nasze (w ciaśniejszym znaczeniu) i moje, lecz przede wszystkim o coś ogólniejszego. W liście adresowanym do mej siostry ciotecznej idzie o chłopaka z Podola, o naukę dla niego. O to samo zapytywała mnie też Pani bezpośrednio. Teraz dopiero może odpowiem. Przepraszam, że tak późno.

Od 26 lat nosiłem się z myślą i uczuciem potrzeby osady wzorowej, doświadczalni i uczelni wiejskiej. Na ludzi, którzy by to poparli, podjęli i prowadzili, nie trafiłem, sam zasobów żadnych nie miałem, ani pienię-

dzy, ani czasu, ani zawodowego przysposobienia, bo ani rolnikiem, ani rzemieślnikiem, ani niczym podobnym niestety nie jestem.

Przed laty 22 Lewicki¹ własnym przemysłem, pracą i kosztem założył w Warszawie tzw. muzeum pszczelnicze, a w nim pasieki, warsztaty stolarski i blacharski, szkołę pszczelniczą i ogrodniczą zarazem, a następnie miodosytnię i piekarnię pierników miodowych. Wszystko było na najlepszej drodze, a do szkoły rzuciła się spora garść paniczów i męskiej młodzieży szlacheckiej lub miejskiej, znajdując wszelkie możliwe ułatwienia, a w znacznej części nawet bezpłatną naukę i mieszkanie. Zwerbowałem Lewickiego do „Gazety Świątecznej”, a nauki jego pszczelarzskie w niej umieszczone zwabiły wielu włościan i niewłościan do pszczelnictwa, po części zaś i do Warszawy na naukę. Lecz w zakładzie, gdzie panie, panienki i panicze uczą się i pracują, wieśniakowi za ciasno, trudno wszystko zobaczyć i wszystkiego się dotknąć. Przy tym bruk warszawski i koleżeństwo z ową zbieraniną nie jest dla tych ludzi dobry, wzorowy ani „sympatyczny”. Dlatego namawiałem Lewickiego, żeby przy jednej z pasiek na wsi „muzeum” jego urządziło uczelnię dla wieśniaków. Nieraz też o potrzebie takiego zakładu różnym ludziom mówiłem. Ale dla innych była to rzecz obojętna. Lewicki zaś oślepl zupełnie, co mu ruszanie się i pracę bardzo utrudniło. Co gorsza, Muzeum nie miało żadnego kapitału obrotowego, nie było w stanie robić zapasów na sprzedaż i musiało opóźniać się z wykonaniem obstalunków, zazwyczaj też nie zawczasu, ale dopiero w chwilach potrzeby czynionych, nie w zimie na czas miodobrania, lecz w czasie samych robót pasiecznych. Utworzona spółka udziałowa zawiodła, bo zamiast 400 udziałów rozebrano za ledwie 100, co nie zwróciło nawet kosztów poniesionych już przez Lewickiego, który tymczasem utracił majątek dziedziczny, z licytacji przez wierzycieli sprzedany. Tymczasem powstały przeciw Lewickiemu całe roje wrogów kilku kategorii, jako to: 1) niektórzy zawiedzeni udziałowcy, źli, że udziały nie przynoszą im dywidendy; byli zaś w tym rzędzie i lichwiarze, którzy przystępowali do spółki w nadziei otrzymywania wielkich zysków; 2) ludzie lubiący występować w rolach działaczy i mówców, którzy przystępowali do spółki, aby mieć pole do publicznych popisów, aby pozyskać rozgłos przez wybory, a których próżność nieraz została podrażniona ciętym językiem Lewickiego. Tacy pankowie, „ludzie dobrej woli”, stali się najgorszymi, najzawziętymi szkodnikami instytucji; 3) niechętni Lewickiemu za to, że był współpracownikiem „Gazety

¹ Kazimierz Lewicki (1847—1905) — pszczelarz, publicysta. W latach 1886—1887 redagował i wydawał czasopismo fachowe „Pszczola”. Od początku istnienia „Gazety Świątecznej” pisywał na jej łamach o pszczelnictwie i rolnictwie. Obszerny życiorys K. Lewickiego, który opublikowała „Gazeta Świąteczna” (1905, nr 1272—1274), napisał K. Prószyński.

Świątecznej”, która dla sporej garści wydawców i dziennikarzy naszych stała się solą w oku. Najotwartzym z takich był Jeleński Jan ze swoją „Rola”², mający przecie posłuch w pewnych wpływowych sferach, którym schlebia. 4) Dawniejsi nasi „wielcy pszczelarze”, których praca i pomysły Lewickiego całkiem zaćmiły. 5) Niektórzy piernikarze warszawscy i przy tym wielcy reklamiści, którym prawdziwe miodowe pierniki stały się bardzo niepożądanym współzawodnictwem. Zdołano przekupić i w jakiś podobny sposób ująć głównego w swoim czasie reportera „Kurierów Warszawskiego” i „Porannego” i ten pewnego dnia w obu tych najpoczytniejszych pismach brukowych wystąpił z artykułami wstępnymi o dziejących się (rzekomo) nieporządkach, nadużyciach i nawet sprzeniewierzeniach kasowych popełnianych przez zarząd w osobie Lewickiego. Była to potwarz, oskarżenie na wskroś fałszywe, ale sami członkowie zarządu Muzeum cieszyli się z takiego podeptania Lewickiego w opinii Warszawy, która znów przewodniczy opinii kraju. I nikt w żadnym piśmie (oprócz jedynej „Gazety Świątecznej”) z protestem ani z obroną wobec tej wielkiej zbrodni nie wystąpił, choć ten sam p. reporter w najbezczelniejszy sposób reklamował wciąż w paru pismach i nieustannie wyroby firmy piernikarskiej „Jana Wróblewskiego”. Tymczasem specjalista od pierników w Muzeum zażądał rozwiązania umowy, otrzymał od Lewickiego jako niby współnik dający swoją umiejętność fachową 1000 rubli odstępnego i założył własną piernikarnię („Złoty ul”), a Lewicki swoją dla braku majstra zamknąć musiał. Stolarze i uczniowie niektórzy Lewickiego pozakładali też sobie warsztaty przyborów pszczelarskich i stali się współzawodnikami Muzeum. Na wystawie rolniczej w Warszawie obdarowano ich medalami brązowymi, a Lewickiego i całe jego muzeum (które już było otrzymało dyplom honorowy wystawy międzynarodowej w Wiedniu, złoty medal z Kijowa i złoty medal oraz tytuł członka honorowego Lewickiemu od towarzystwa ekonomicznego w Petersburgu, nb. bez żadnych i niczych zabiegów), zaszczycono na wystawie warszawskiej zaledwo srebrnym medalem. Po takich przejściach Lewicki pozbawiony środków prowadzenia „muzeum”, a przy tym i chleba, i wszystkiego, porzucił muzeum, pozostawił je udziałowcom, sam zaś prywatnie prowadził na mały rozmiar wyrób uli i innych przyborów, wykłady pszczelnictwa i dyktował artykuły pszczelarskie do „Gazety Świątecznej” przeważnie, a po trosze i do innych pism. Z tego jedynie żył do końca w ubóstwie i dzieci swe wychowywał. Nie mogła więc dojść do skutku nasza uczelnia wiejska, skoro i samo „muzeum” duszę utraciło. Za Lewickim wysunęli się z niego wszyscy porządniejsi ludzie. Żaden z nich

² Jan Jeleński (1845—1909) — publicysta i redaktor tygodnika społeczno-politycznego o zabarwieniu antysemitycznym pt. „Rola”, który się ukazywał w Warszawie od 1883 r.

nie chciał do zarządu należeć. Dostali się więc do zarządu nie wybrani, ale ci, którzy pragnęli tytułów jakich bądź i rozgłosu w kurierach, ludzie nic wspólnego z pszczelnictwem ani z „muzeum pszczelniczym” nie mający. Udało się im pozyskać dobre i bezpłatne miejsce na pomieszczenie muzeum w ogrodzie Frascati, za co Branickiego³ zrobiono prezesem towarzystwa, na które dawną spółkę przekształcono. Pozostały przy muzeum płatny sekretarz Lewickiego i jeden z jego uczniów, który podjął się obowiązku nauczyciela pszczelnictwa, prowadzili dalej w tym przekształconym zakładzie wyrób przyborów i szkołę, umożliwiali istnienie zakładu. Do jego zarządu wkroczył się nareszcie i człowiek, którego ja, niestety, mam na sumieniu, bom dopomógł mu i umożliwił przeobrazić się z małego i skromnego robotnika w wielkiego pasożyta, wyzyskującego pracę jednych, a dobrą wolę, próżność i łatwowierność drugich. Głosiłem zasadę, żeby wychowanców seminariów nauczycielskich nie odtrącać, nie bać się, nie pogardzać nimi i nie stronić od nich, ale przeciwnie, przygarniać i przez obcowanie z nimi, rozmowy i książki odpowiednie kształcić ich i wyrabiać na pożytecznych pracowników. Według zasady tej sam też postępowałem. Zaufawszy też chęciom, okazywanym przez jednego z takich wychowanców nauczycieli elementarnych w małym miasteczku starałem się go uzdolnić na pisarza „ludowego”, bo tych nam brak zupełnie. Dostrzegłszy zaś pewne postępy i ciesząc się, że starania moje nie idą na marne, zacząłem mu ufać tym bardziej i skorzystawszy z nadarzonej sposobności wsadziłem go na urząd redaktora i stanowisko współwydawcy i kierownika pisma⁴. Odtąd jednak stanął w nim rozwój zdolności pisarskiej tak, że cichym pozostał pisarzem, a za to zaczął ujawniać i rozwinął w sobie spryt geszefciarski w najgorszym tego słowa znaczeniu. Zamiast starać się o podniesienie wewnętrznej wartości zaniedbanego bardzo przedtem pisarza, oddał się cały wyzyskiwaniu na swoją korzyść i na wszelkie sposoby gruntu wyrobionego przez „Gazetę Święteczną”, owoców jej pracy, jej projektów, ubiegania i wypaczania, marnowania powziętych przez nią myśli i zamiarów, i w dodatku kopania pod nią dołków na wszystkich drogach. Kiedy ja musiałem siedzieć nad pracą swoją, mając skutkiem braku czasu uniemożliwione stosunki osobiste z ludźmi, do niektórych przy tym miałem pewne powody być zrażonym, ów nowotwór tymczasem korzystając z tytułu „redaktora”, i to pisma „ludowego”, więc o sympatycznym kierunku i mając przez to wszędzie wstęp ułatwiony i posłuch jaki taki, wszędzie biegał i jeździł do wszystkich redakcji, dziennikarzy, kółek i towarzystw, do wszystkich

³ Chodzi o Ksawerego Branickiego (1864—1926) twórcę przyrodniczego muzeum Branickich.

⁴ Mowa o Maksymilianie Malinowskim (1860—1948) od roku 1886 redaktorze „Zorzy”, a od 1907 r. „Zarania”.

znanych z „Gazety Świątecznej” jej czytelników, do pisujących do niej itd. itd., wszędzie i wszystkim się zalecał, ofiarowywał swoją „dobrą wolę” i usługi, o pomoc i poparcie zebrał, oddawał się w opiekę wiadomym moim wrogom w „prasie”, na „Gazetę” moją zaś i na mnie jakieś plotki tworzył i szerzył, półsłówkami zaś i gestami dawał do zrozumienia, jakoby wiedział i miał coś bardzo złego, od wypowiedzania czego tylko się wstrzymuje. Używał nawet sposobu oskarżenia mnie, i to w drażliwych bardzo rzeczach, przed cenzurą. Naśladował jednocześnie niewolniczo, trawestował i parodiował moje myśli i artykuły; o czym ja napomknąłem, jako o rzeczy potrzebnej, pożądanej, do czego poszukiwałem ludzi i środków, on nie mając pojęcia o przedmiocie, starał się zaraz przedstawić, jako rzecz już wykonaną lub przygotowywaną przez niego, obiecywał niechybnie z niej korzyści przy pomocy zwiedzionych w ten sposób ludzi, robił wielkie lub większe jeszcze partactwo i powodował szkód co niemiara, najgorszą zaś tę, że zwodził ludzi i przy ich pomocy sprawę od właściwej drogi lub zniechęcał do rzeczy i zaufanie podkopywał. I o dziwo! rzecz dla mnie niepojęta, zagadka czarodziejska: wszędzie wiarę i pomoc znajdował. Gdzie się tylko przewinał, choćby wśród ludzi, którzy dla mnie okazywali się zawsze przedtem przychylni, wszędzie od razu prawie wroga albo co najmniej chłodna atmosfera względem mnie i pracy mojej zapanowywała. Między całą prasą polską a mną jakiś dziwny rozłam nastąpił. I nie tylko prasą, ale między „Gazetą Świąteczną” a jej czytelnikami tymi, których adresy i nazwiska były w niej ujawnione. Każdy prawie mój występ w sprawie ogólnej lub palącej spotykał się z przeciwdziałaniem biernym, obojętnością prasy w ogóle, a wrogimi i pełnymi fałszów komentarzami niektórych jej organów, zwłaszcza skrajnych: „Roli”, „Przeglądu Tygodniowego”, „Głosu” i „Przeglądu Katolickiego”. I zjawiały się w tych pismach panegiryki dla prac nowotworu, będących parodią rzeczy z „Gazety Świątecznej” poczerpniętych i naśladowanych, a jednocześnie i obok tego wyszydzanie „Gazety Świątecznej”, odmawianie jej nawet dobrej woli i odrobiny rozsądku, aż do używania epitetu: „ta idiotyczna »Gazeta Świąteczna«”. Potępiono mnie za ujawnienie przekupstwa używanego dla werbunku ludu naszego do Brazylii, za wydanie katechizmu zrozumialszego i łatwiejszego do nauki i innych itd. itd. Musiałbym całe tomy napisać, gdyby chodziło o dokładne wyłuszczenie tego wszystkiego. Napomknę krótko tylko, że tu źródło i tajemnica rozgłoszenia i wypaczenia, zepsucia albo zupełnego zniweczenia takich spraw, jak np. „drobny przemyśl”, „kasy pożyczkowe”, „sklepiki wiejskie” itp. Zazdroszczono też „Gazecie Świątecznej” pszczelnictwa, współpracownictwa Lewickiego zwłaszcza. Starano się też wejść między mnie a niego. Gdy jednak Lewicki nie okazał się tak podatnym jak wszyscy niemal inni, a co główna

może, gdy z jego artykułami [wyraz nieczytelny] nie mający pojęcia o pszczelnictwie ani o warunkach dobrego pisania nie umieli sobie dać rady, wśrubowano się w „Towarzystwo i muzeum pszczelnicze”, w jego zarząd, objęto niby jego sekretariat i z tego stanowiska przy zupełnej bezczynności (i niepojmowaniu rzeczy) innych członków zarządu prowadzono kampanię przeciw Lewickiemu, aby go ubezwładnić i tym sposobem pozbawić działu pszczelniczego „Gazetę Świąteczną”. Ponieważ zaś obawiano się, żeby nie został wykonany mój projekt uczelni wiejskiej, ponieważ przy tym ubezpieczenie nas w czymś podobnym wydawało się bardzo korzystnym krokiem w tej kampanii i pod egidą „Towarzystwa” było ułatwione, więc powstał i „pszczelin”. To było tylko jednym ze sta-diów, również jak jednym z następnych było napisanie i wydrukowanie artykułu ogłaszającego, że Lewicki jest wariatem, w szpitalu wariatów, że od lat kilkunastu już nie był zdrow, że za Lewickiego podawał się i podaje się syn jego, który nic nie umie, tylko ludzi oszukuje i pieniądze wyłudza itp. Dalsze dzieje tego jednego szczegółu powinna Pani znać z „Gazety Świątecznej”. Numer „Gazety Lubelskiej” posłałem bez żadnych ubocznych myśli, tylko dlatego, żeby i z jego treścią Panią zapoznać, gdy zebrać się na pisanie listu nie byłem w stanie. Wszak i niniejsze bazgranie bardzo wiele czasu mnie kosztuje i trudności nawet, bo materiału, treści jest tyle, że trudno wybierać, jedno przed drugie się cisnie, po prostu chaos w głowie wytwarza i nerwy wszystkie szarpie. Boć to wszystko na pozór małe, głupie i trywialne, w istocie jest tym straszniejsze, gdy się widzi i czuje całą tzw. przynajmniej „inteligencję” kraju, ojczyznę przeciwko sobie zwróconą, ogłupiałą ohydnie i smagającą konia objuczzonego za to, że jeden z jej pakunków, a przynajmniej jeden z ciężarów narodowo-społecznych dźwiga, stara się ciężaru tego bronić przed złodziejami i nie daje nóg sobie łamać. Z listu Pani poprzedniego jedna rzecz dla mnie przykra była, to tylko, iż widziałem zupełną nieświadomość Pani co do sprawy, którą wszak, choć nie wszechstronnie, w danym wypadku jednak wystarczająco dla bezstronnych wyjaśniłem w „Gazecie”. Innymi słowy przykre mi było, że jakkolwiek „Gazeta” moja do Pani dochodzi, ale jej zawartość pozostaje dla Pani obcą, o moich zaś sprawach, aż przez pośrednictwo nowotworów, raków mojej pracy, wieści Panią dochodzą. List Pani dopełnił miary, dał mi prawo pomyśleć i poczuć: całe społeczeństwo, cały naród, cała jego „inteligencja” przeciwko tobie, cała bez wyjątku, którego nawet osobiście twoi przyjaciele nie stanowią. Oto bicie za twe myto. Nie łudźże się dalej. No, nie dziw. Przecież cała „prasa”, naczynie wiedzy „inteligencji”, jest przeciw tobie, raki popierając, a z twojej lichej gazetki też „inteligencja” nic przecie nie czerpie, brać nie może, czasu na czytanie tego

tracić nie będzie, bo to nie dla niej, to idiotyczne, to tylko dla „ludu”, niech on sobie czyta, jeśli gdzie chce.

Teraz mogę odpowiedzieć na pytanie co do chłopca, o którego naukę idzie. Po śmierci Lewickiego i jednoczesnym sponiewieraniu jego samego i syna przez zarząd „Towarzystwa pszczelniczego i Muzeum”, dla synów pozostałych bez żadnych środków pozostawała jedna droga najkorzystniejsza: jechać na posady pszczelarzy, i to do Rosji, bo 1) tam porady takie najlepiej bywają płatne, 2) w Rosji z otwartymi rękami wszędzie ich przyjmą, bo tam nazwisko ich ojca jest w wielkim poważaniu, żaden rak go nie toczył, a zasługi do tego stopnia są cenione, że wielu pszczelarzy i amatorów pszczelnictwa na książkach Lewickiego i dla nich uczyło się języka polskiego. Ja młodych Lewickich w Warszawie zatrzymałem, aby nie dali w kraju upaść dziełu ojca; boć towarzystwo pszczelnicze rzecz tylko psuje i cofa wstecz, jest narzędziem nie dla dobra pszczelnictwa, lecz dla innych wiadomych już celów jednostek. Zaczynają z gołymi rękami. Warsztat już mają i prowadzą, ale w Warszawie. Ja postanowiłem (ale to tajemnica, proszę nie powtarzać jej nigdzie) choć własnymi siłami uczelnię wiejską założyć i ich użyć do tego. Przez lat kilka ostatnich zdołałem spłacić większą część długu mojego zaciągniętego przed laty dwudziestu kilku na założenie księgarni i pchnięcie wydawnictw. (Chociaż księgarnia co rok straty mi tylko przynosi i jest z niej o jeden kamień u nogi więcej). Ta spleta jest rzeczą pomyślną, boć jedynie z oszczędności, z przedpłat składanych przez moich czytelników na „Gazetę”, mogła być uskuteczniiona. Nową tedy oszczędność mam obrócić na kupno jakiej włóki ziemi pod Warszawą, urządzenia w niej pasieki, ogrodu, warsztatów i niech tam Lewiccy pracują na siebie i przy pomocy może jeszcze kogoś więcej, np. ogrodnika, stolarza itd. innych uczą. Trudności są, a na pierwszym kroku już ta, że w okolicach Warszawy ziemia licha i bardzo droga (5—10 tysięcy włóka). Na pomoc zaś znikąd, najmniejszą choćby, liczyć nie mogę. Próbowałem ludzi namówić, aby wspólnymi siłami pasiekę utworzyć, ale ci, do których się udawałem i w których upatrywałem wolę najlepszą, udziału odmówili. Żebrać, prosić, niestety, nie umiem, niczym też na zaufanie u rodaków nie zasłużyłem i drogi do ich serca i kieszeni dla każdej sprawy, w której czynny udział wziąć pragnę, są zamknięte. Nie tracę nadziei znaleźć coś odpowiedniego tej jeszcze wiosny, chociaż czas leci, mało go jest i jedyny dzień możliwy do zajmowania się tą sprawą w tygodniu, a zatem cały tydzień, pisanie niniejszego mi pochłonęło i znowu zwłoka. Jeśli ziemię znajdę i Lewickich tam osadzę, roboty rozpoczną się od korzenia, od kopania, budowania. Sądzę, że i udział w takich robotach dla młodzieńców byłby pożyteczny na przyszłość, jako nauka pracy, doświadczenie. Dokładniej nic jeszcze nie określam, przedstawiam stan rzeczy obecny.

Rozgłos wszechkrajowy nadano Pszczelinowi, o którym już wspomniałem. Ja może stronnie jestem względem tego układu uprzedzony, ale w sumieniu swym nie mogę uznawać go za dobry i odpowiedni. Boleję tylko nad obalamuceniem, nad tak łatwo i tak byle komu dającym się obalamuć ogółem. 1) Podstawa moralna i cel główny tego zakładu wszak doskonale mi są znane, wiadome i niestety mnie jednemu tylko. 2) Pszczelnictwo też w nim nie może stać dobrze, bo przez lichych pszczelarzy, niedouczków i źle pokierowanych jest prowadzone. 3) Władający tym zakładem, gwoli pozyskiwania sobie tym większego wszędzie rozgłosu i poparcia, poddają go i jego mieszkańców wpływowi wszystkich modnych wiatrów, powiewów, które, niestety, na ostateczne tylko zaprzepaszczenie naród wieść mogą, upadlają go lub dzielą i rozpraszają do reszty.

Niech Pani będzie łaskawa nie niszczyć tego listu, bo nie wiem, czy kiedy zdobędę się na wypowiedzenie i tej odrobiny o przykrych dla mnie sprawach, jaką tu niedołącznie podałem. Niech więc na wszelki wypadek chociaż ten piśmienny, acz tak mało znaczący dokument pozostanie. Przy sposobności kiedy może bym ten list odebrał na powrót dla zachowania u siebie.

A teraz proszę przyjąć ode mnie ucałowanie rąk, od moich zaś pozdrowienia

zawsze ten sam

(—) K. Prószyński